Lwów 4. Sierpnia. №92. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. **1** Zł. **20** kr.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

OFIARA.

Gdy się ta scena na poddaszu odbywała, w pierwszo piętrowym salonie pałacu kąpielowego niebyło także nazbyt wesoło. Chociaż niebyło ani krwi ani łez gorących, ani konwulsji, była jednak boleść w swoim sposobie taka, która nieprzekracza nigdy granic przyzwoitości, a nawet wtedy, gdyby i dotkliwszą była, niżeli krew, łzy i konwulsje.

Matka Julii chodziła skwaszona i pełna jakiegoś niezadowolenia, a piękna jej córka siedziała przy małym stoliku, ująwszy w drobną rączką warkoczem obwinioną głowę. Na około nich były jeszcze ślady wczorajszej zabawy, której wspomnienie zasmucało obiedwie.

Wczorajszy bowiem wieczór dostarczył matce wiele materji do myślenia, a córka skarżyła się od świtu na jakieś przykre przeczucie.

Albowiem bohatyr wczorajszy, którego poznaliśmy wraz z ministrem w restauracji kąpielowej, tak zręcznie rozpoczął był swoje dzieło, że w godzinę póżniej, śród wesołej zabawy, uwiadomioną została Julia listem bez podpisu o grożącem niebezpieczeństwie, którego celem był wielkich nadziei młodzieniec, rozumie się pan Albin. O drugim przemilczono, jak o rzeczy podrzędnej. Postarano się także, że wiadomość ta doszła inną drogą towarzystwa, a Julią zarzucono pytaniami, skargami, wyrzutami, że będąc nieczułą na cudze względy, dopuszcza do krwi rozlewu. Wiadomość ta popsuła zabawę, a goście rozeszli się wcześniej, jak się spodziewano.

Słusznie więc obawiała się rozsądna matka, że sława jej córki nic nie zyska w ten sposób, a może wiele utracić. Wiedziała dobrze, że do takich wydarzeń wiążą się plotki i komeraże, i że opinia zazwyczaj niedługo tym schlebia, którzy jakim bądź sposobem wysuwają się na przód społeczeństwa. Krótkie jest panowanie bohatera czy bohaterki, a wkrótce występuje zawiść stuoczna, i obgryza do nagiej szpetności urok chwilowy. Do tego sława dziewczyny, o którą odbywają się pojedynki nie jest bynajmniej do zazdroszczenia, nie tylko bowiem przyznaje jej opinia nieszlachetne zawsze powody, ale oraz wyprowadza ztąd wnioski jak najgorsze. Podobne bohaterki nigdy przy takiem zdarzeniu nie wyszły dobrze, w najlepszym razie podziwiano ich sztukę dyplomatyczną, przez którą zdołały dwóch lub kilku mężczyzn równocześnie utrzymać w tej samej ułudzie. —

Takie myśli niepokoiły dzisiaj matkę Julii, a jeżeli jej córka także przyjemnych nie miała, pochodziło to z tych samych co i u matki powodów, a najwięcej z nieokreślonego jakiegoś uczucia, którego bynajmniej nie mogła nazwać dobrem.

— Widzę kochana Julio — zagadnęła matka, że w większej części jesteś sama temu wszystkiemu winną!...

— Więc odjedźmy na wieś, droga mamo — smutno odparła Julia, bo ja poznaję, żem nie stworzona do miasta, ani do ludzi.

— Ludzie wszędzie są, a w tym właśnie zależy trudność, żyć z nimi zgodnie i przyzwoicie. — Z resztą z każdym dniem jesteś starszą, a co ci uszło przed rokiem, to ci dzisiaj nie ujdzie. —

— I cóż ja mamo, złego uczyniła?

— Nic dotąd, dziecię, złego niebyło, ale my powinniśmy się i pozoru złego wystrzegać. I tak muszę ci powiedzić, że za nadto nadużywasz twoich darów przyrodzonych w towarzystwie z innemi i szydzisz z nich jedynie za to, że są rozumem niżsi od ciebie. Kobieta nie powinna w towarzystwie nikogo wyszczególniać, dla nikogo być serdeczną, ani nawet dla tego, komu serce swoje oddała. Inaczej draźnisz tylko, stajesz się powodem awantur i bohaterką rozmowy publicznej. A chciej wierzyć, że nawet ulubienica opinii publicznej krótko panuje, a cóż dopiero, jeźli ta opinia kogoś nie polubi?...

— To jedźmy mamo na wieś i na tem się skończy wszystko.

— I cóż zamyślasz na wsi robić?

— Mam książki, będę czytać, grać, malować..

— Nie Julio, to niezadowoli na czas długi. Wszystko to przyprawą życia, a obowiązki kobiety są inne..

— A jeślibym się wyrzekła tego, co na mnie te obowiązki włożyć może?... Tak mamo, ja się wyrzekam nawet tego, co inni szczęściem zowią!

Matka spojrzała w oczy córki, a w nich wyczytała stałą i niezachwianą rezygnacją.

— Julio ty dziwaczysz! rzekła boleśnie.

— Nie mamo, to nie dziwactwo, to nie upor, czuję boleść życia!

Tu wstała, a całując matkę, położyła głowę na jej łonie i poczęła płakać.

Matka zajrzała w serce cierpiącej dziewczyny, i przemknęła myślą ostatnie jej lata. Były one świeże i dziewicze jak niebo majowe, tylko z dala, gdzieś z dala wychylał się blady, lekki obłoczek.

Po chwili zamyślenia ozwała się matka:

— Dziecię moje, boleść życia przynosimy z sobą na świat, ale żyć potrzeba! Masz rok ośmnasty i jesteś jedynaczką. Chcesz przyjaźni, miłości dozgonnej, wybieraj; wola moja nieoprze się twemu szczęściu wtedy, jeźli Julia pamiętna na słowa matki, pójdzie za głosem dobrego serca, mając jednak przy tem i świat i społeczność na względzie; jeżeli nie zechce gonić za ostatecznością, która aczkolwiek przyjęta przez rozum, błąka się jeszcze w krainie przyszłości, i wyczekiwać musi jak tułacz upragnionej chwili, w której będzie mogła powrócić do matki-ziemi, i na niej osiąść bez oporu. Ale chciej zważyć dziecię, że ta chwila daleko jeszcze, że musimy jeszcze długo brodzić w naszych błędach i przesądach, za nim się z nich otrząśniemy, i śmiało wstąpimy w te nowe drogi, które chociaż przez ducha są dostatecznie nakreślone, jednak w praktycznem życiu są jeszcze zbyt nowe i niezwykłe. A lepiej już błądzić jak błądzą wszyscy niżeli błądzić samemu chcąc czegoś nowego i niezwykłego, czego jeszcze nierozumią ludzie na ziemi! Spodziewam się, że mnie rozumiesz, i nie zechcesz, abym mówiła jaśniej.

Tutaj ucałowała matka jeszcze raz zamyśloną córkę i wyszła na ranną modlitwę do kapliczki, w której właśnie dzwoniono.

Julia wstała i odeszła do pobocznego pokoju.

Do wrażeń wyniesionych z wczorajszego wieczora, do jakiegoś smutnego i nieodgadnionego przeczucia, które od rana miotało jej sercem i duszę niepokoiło, przyszła jeszcze dziwaczna rozmowa matki. Nigdy jeszcze nie mówiła do niej w sposób tak zagadkowy, a gdy nad powodem tego długo się namyślała, odgadła, że zagadkowość ta była tylko na to wyrachowaną, aby jej coś powiedzieć, a przy tem jej serca nie ranić.

Jakoż nie musiało się bardzo dobrze udać to wyrachowanie matki, bo Julia uczuła nagle, że jej serce mocno zabolało, że w boleści swojej rwała się niespokojnie do jakiegoś nieokreślonego pragnienia, do jakiejś myśli niezrozumiałej. Siadła na kanapie i spojrzała z wstrętem na leżące około bukiety, róże i kamelie, wczoraj dopiero poufne świadki wzruszeń dziewiczego jej łona, a dzisiaj rzucone, zwiędłe i uschłe, zaledwie uraczone wzrokiem pogardy!. O jakże to gorzko, jak boleśnie! za tyle chwil poufnych, za tyle cierpień i marzeń, prac i nocy bezsennych, za tyle szczęścia i ułudy, męczarń i boleści.. za tyle natchnień, wydobytych z serca ofiarą życia,.. dostać może taki wzrok pogardy!

Jeszcze raz ostatnią przestrzeń swego życia przebiegła myślą młoda dziewczyna i ujrzała, że na niej leży wiele odrzuconych róży, kamelii, które się niegdyś u jej łona pieściły, poiły się światłem jej oczu, ginęły pod gorącem jej westchnieniem, aby tylko być przy niej, słyszeć bicie jej serca... te porzucone róże i kamelie, te odepchnięte od siebie sny i marzenia, swoje i obce potrzeba dzisiaj pożegnać może wzrokiem pogardy!...

Ścisnęło się jej serce, a na długich, spuszczonych ku ziemi rzęsach zawisły dwie jasne, przejrzyste łzy.

W tej chwili rozwarły się drzwi, i z twarzą dziwnie rozpromienioną wszedł Robert do pokoju.

Spojrzała po sobie, w spojrzeniu ich była sprzeczność nadzwyczajna.

Spojrzenie Roberta nienaturalne i gorączkowe, wyrażało rozkosz zachwycenia, z ciemno-błękitnych jego oczu tryskał promień jasny i szklisty, i zdawał się być połyskiem naprężonych uczuć wewnętrznych, lub zwierciadłem jakiejś myśli genialnej. Zapadłe policzki krasił rumieniec chorowity, lecz nie tej barwy spokojnej, która zdobi kwiaty, ale tej barwy, która w tysiącznych odcieniach połyska w rozdmuchanym płomieniu.

Spojrzenie zaś Julii było na pozór chłodne i obojętne, ale właśnie ta pozorna obojętność była dowodem, że przyjście Roberta nie zaskoczyło jej niespodzianie. Spojrzała na niego z tym samym smutkiem, jaki od rana w jej sercu gościł, a melancholijny wyraz twarzy odbił się jeszcze jaśniej na tle jasnego światła, które obfitym zdrojem wpadało do pokoju. Jeszcze wisiała łza u jej rzęsy jedwabnej, ale okazana światu, wysychała i malała, i była tylko świecącym punktem jak kropla rosy na listku róży. Gdyby ta łza opowiedziała nam swoje dzieje, co było jej powstania początkiem i co ją z głębi duszy na jaw wycisnęło, gdzie marnie zaginąć miała, moglibyśmy lepiej poznać młodą dziewczynę i ją więcej pokochać, lub się od niej więcej odwrócić. Ale łza ta milczała.

Przeraziła ta obojętność wchodzącego poetę, a twarz jego nabrała cierpkiego wyrazu. Postąpił naprzód, a sądząc że Julia go niespostrzegła, oddał jej po raz wtóry «dzień dobry.»

— Zdaje mnie się, zagadał, że pani potrzebujesz tego życzenia, bo do tej chwili niebył dla pani, jak widzę, dzień dzisiejszy «dniem dobrym.»

— Dzień dobry, sądzisz pan że słowo jedno rozweselić może?

— Nie pani, tego bynajmniej nie myślę, przerwał szybko poeta, wpadając w zapał gorączkowy, z jakim był przyszedł, wcale nie myślę, aby moje słowa coś kiedy mo-

gly zdziałać!... Niegdyś sądziłem, że słowo jest to korona stworzenia i wszechmocy Boga, że ta szata w którą zwykł się odziewać duch myślący jest szatą świąteczną i uroczystą, ale odkąd ten święty strój podarto na szmaty i rzucono na śmiecisko brudów i odrzutków towarzyskich, odkąd poczęły weń stroić się obłuda, podstęp, zdrada i nikczemność, odtąd nie widzę w słowie żadnej wartości, a nawet poczynam się niem brzydzić.

— Więc pan już nigdy mówić nie będziesz? przerwała zadziwiona taką mową Julia.

— Tyle ile potrzeba koniecznie, aby ludziom na ich pytania odpowiedzieć, odparł poeta.

W rozmowie nastąpiła pauza, i widać było, że tok jej niezadowalniał obojga. Były to jakieś formułki oschłe, a niepotrzebne, jak szermierka straży przednich przed bitwą stanowczą. W ich sercach było za wiele gorąca, za wiele ognia w ich wyobraźni żywej a rozdrażnionej, aby mogli poprzestać na takich zwrotach dyalektycznych. Pomimo tego musieli uledz regule przyzwoitości i przyjętym zwyczajom, a walkę serc dwojga, w których wrzał ogień i buchał płomień, prowadzić dalej rozmową.

— Zaciemny pan dzisiaj jesteś, a ja z takiem upragnieniem czekałam, aby się pana o tyle rzeczy wypytać, tyle nowych mu udzielić...

— Pytać się chcesz pani, a ja sam mam wiele pani do opowiedzenia.

— O sobie chcesz pan mówić?... ja pana tak dobrze znam, że niewiem czybyś mnie pan mógł powiedzieć jaką nowinę. A zresztą byłby to wielki egoizm bawić mnie sobą.

— Tą razą chcę być egoistą.

— Egoistą pan nie jesteś i nie będziesz, zawróciła zręcznie Julia, lękając się kierunku rozmowy, znam pana dobrze, a nigdy niedostrzegłam w charakterze pana egoizmu, chociażby czasem był przydatny... człowiek bez egoizmu jest na świecie, jak pan nazywasz abstrakcją, ideą...

— I musi nią pozostać, jeżli mu wzbroniono z form społeczeństwa wybrać te szaty, które najwięcej jego wyobrażeniom odpowiadają.

— Jakiż pan dzisiaj uczony! Przemawiasz pan w słowach nauki!... a ja żyję dzisiaj tylko sercem!

— Sercem? serce ludzkie jest ogniskiem egoizmu.

— A że pan niemasz egoizmu...

— To niemam i serca!... nieprawdaż?

— Znowu mnie pan mówisz o sobie? a przecież wiem, że tego czynić nie będziesz!

— Dlaczegoż niebyłem egoistą?

— Byłoby to może z większą dla pana korzyścią.

Znowu nastąpiła pauza, bo oboje niebyli ze swojej rozmowy kontenci. Julia podparła głowę i zamyśliła się. Robert wpatrywał się z boleścią w lica młodej dziewczyny, na których malowało się wielkie, wewnętrzne cierpienie.

— Pani jesteś cierpiącą dzisiaj, przemówił po chwili.

— Cierpię i mocno cierpię, że pana wysłuchać pragnę.

— Wysłuchać?... to słowo ma wiele znaczeń. Pani bawisz się dzisiaj w szarady.

— O gdybyś mógł pan mnie poznać i zrozumieć bez mowy, bez słów, jakże wdzięczną byłabym panu!

— To jest, uwolnić panią od wypowiedzenia tego, co by może czyje serce a może nawet i własne zranić mogło! Bo myśl sama jest niewinną i nieszkodliwą; obok najpiękniejszych i najwznioślejszych myśli mogą spokojnie spoczywać brudne i występne; pasmo najczystszych uczuć może czasem przebiegnąć chuć czarną i brzydką. Tylko czyn i słowo dopiero zabijają. Bo gdzież się znajdzie człowiek, przez którego serce nie przemkną czasem najdziwaczniejsze zachcenia?... Więc tego słowa obawia się pani, bo ono zabija!... ale gorzej jak słowo zabija, czyn! A milczenie może być czynem!...

— Dziwny pan dzisiaj jesteś, przerwała Julia, której twarz oblała się rumieńcem, właśnie dlatego słucham pana, abym nieodpowiedziała samem milczeniem. Zresztą może mam prawo za moją przyjaźń i szczerość, mówiła dalej, połykając łzy, cisnące się do jej oczu, prosić pana, abyś się niechciał pastwić nademną!...

Tutaj rozpłakała się w głos i zakryła oczy, z których płynął strumień łez obfity. Roziskrzyło się oko biednego poety i błysnęło światłem dzikiej rozkoszy.

Była to jedna z ostatnich chwil jego szczęścia na ziemi.

— Nie pastwić się przychodzę tutaj pani! zawołał chwytając ją za rękę, bo ty jesteś bez skazy i winy, jak anioł przed obliczem Boga! Jeżeli jakiś nieznany tam człowiek uczuł w swem sercu ból na twoje wejrzenie, jeżeli w duszę jego wniknął twój obraz i z nią się pobratał; jeżeli na dni marzeń rozszarpane życie swoje roztrwonił ów marnotrawiec szalony, i tylko pamięć cierpienia z niego uratował, to było jego zasłużoną karą, bo się odważył świętokradzkiem okiem spojrzeć w niebo wybranych.... A czynił to, bo nie znał świata i jego warunków!.. Nie znał egoizmu ciała, bo wyrzekł się społeczności i tego, co się w niej błyszczy, jak szych ułudny, nie znał egoizmu ducha, bo istotę swoją roztopił w pojęciu ludzkości!. To też nie myśl pani żądać potraconych swych skarbów i pastwić się cierpieniem... o nie, człowiek ten zbliża się dzisiaj do pani, jako jałmużnik biedny, który przysiągł był wieczne ubóstwo i tylko żebrze dla cierpiącego brata!

Tutaj zatrzymał się mówiący, i wzrokiem błagalnym spojrzał na Julią.

Wyglądała ona jak piękny, marmurowy posąg, a w całej jej postaci przebijał się spokój niezachwiany. Żaden jej ruch nie okazał wewnętrznego wzruszenia, bo całe jej życie ubiegło gdzieś na wewnątrz i tam w jedno ognisko skupiło

wszystkie swoje promienie. Wzrok jej spoczywał na błagalnej postaci młodzieńca.

— Nie o sobie i nie dla siebie już teraz mówię, zawołał po chwili, a jeźli pragnę, aby słowa moje znalazły serce otwarte, to już nie pragnę dla siebie, ale dla tego, który dzisiaj więcej tego serca potrzebuje, bo jego jest zranione.

— Czyż dzisiaj się nie skończą nasze zagadki, przemówiła piękna, blada Julia, a na jej alabastrowem czole zarysowały się dwa zagięcia.

Robert uczynił ruch przypadkowy, a Julia krzyknęła nagle i upadła na poręcz kanapy. Na prawej jego ręce obaczyła krew.

Pochwycił ją w pół, i z dziwną trwogą, lecz nie bez rozkoszy wpatrywał się w jej lica odumierające.

Była to druga z ostatnich chwil jego szczęścia na ziemi.

Powoli przychodziła Julia do siebie, w twarz jej powróciło życie. Otworzyła oczy.

— Zkąd ta krew? zapytała z cicha.

— Ta krew, odrzekł poeta, przybyła ze mną, jako dowód że serce z którego ona pochodzi jest godne serca pani..... przybyła jako świadek, że szczerze moje poselstwo wypełniam.

— Więc pojedynek odbył się?

— Tak jest, i przyjaciel mojej młodości umiera.

— O Boże, któż to taki?

— On panią kocha, a myśl że pani jesteś mu wzajemną, może jedynie życie jego ocalić.

— I toż ja od pana słyszę? zawołała Julia, a twarz jej nabiegła szkarłatem.

— Jestem bez egoizmu serca, a rządzę się myślą ducha, odpowiedział poeta, którego twarz powlokła się w tej chwili trupią, lodowatą bladością. Tylko w oku palił się ogień szlachetnego nadziemskiego uczucia.

— Któż to jest?

— Kazimierz .....

Ciemny szkarłat i przeźroczysta bladość wystąpiły po sobie na lica Julii, a w wilgotnym blasku jej oczu zamigotało dziwne uczucie. Z żywością uścisnęła rękę młodzieńca i rzekła śpiesznie.

— Jesteś pan szlachetny, i nie wzgardzisz przyjaźnią siostry. (C. d. n.)

CÓRA PIASTÓW.

(Ciąg dalszy.)

Trojden pchnął we drzwi, ciężkie rygle pękły,
Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi...
Litwin się cofnął, jak gdyby przelękły,
Rękę do boku... i już miecz podnosi.
Mniemał, że jaka ukryta zasadzka,
Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu;
Lecz się opatrzył; to dziewica Lacka
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada.
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;
Lecz jej spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie powstał na twarzy.
Po ojcu wnuczka i prawnuczka Piasta,
Kędy się rodzą i Chrobrzy i Śmiali,
Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta,
Dzieckiem igrała z bardyszem ze stali,
Stara piastunka nad Księżniczki głową
Nuciła starą piosenkę bojową,
Gwarzyła różne ciekawe powieści
O Litwie srogiej i łagodnej razem —
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
Zbratał się z wojen straszliwym obrazem?
W czarnej odzieży i w białem nagłowiu,
Stanęła we drzwiach jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierząc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wnijść się odważy.
Litwin oszczepem nie lęka się pchnięcia,
Złamałby oręż co dziewica pieści;
Lecz piękny wyraz godności niewieściej
Straszliwem ostrzem przebił pierś książęcia.
Jakiś wstyd przebiegł po zwycięzców tłumie.
Znowu spojrzała — cofnęli się srodzy:
I mową ruską, co Litwa rozumie
Tak się ozwała do litewskich wodzy:
—„Słabość dla mężnych jedyna zapora.
„Nie wnijdziesz dalej, bo tam matka chora.
„Książę rycerski, bądź wierny twej cześci;
„Nasza niedola niech nas zabezpiecza.
„Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,
„Nie nadużywaj praw twojego miecza.
„Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
„Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
„Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie,
„Zabieraj wszystko, co ci się podoba,
„A cześć uszanuj w godzinę złowrogą:
„Bo twoje losy przeważyć się mogą.
„Niepatrz szyderczo, że słaba i młoda
„Grożę oszczepem chrobremu wodzowi:
„Gdy o cześć idzie Bóg losy stanowi,
„Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
„Potrafię umrzeć; lecz dokąd nie zginę,
„Niewstąpisz wodzu w komnaty matczyne!"
Rzekła, i k'piersiom litewskiego księcia

Podnosi oszczep, na życie niepomna,
A na jej twarzy wstydliwość dziecięca,
A w oczach zapał i wola niezłomna.

Trojden pokraśniał, puścił wzrok ku ziemi,
I zakłopotan do dziewicy rzecze:
—„Kniahini Lachów! my chrobrzy z chrobrymi;
«Lecz u nas w piersiach jest serce człowiecze.
«Żaden zły zamiar w mej myśli niepostał;
»I żal, i wstyd mi, żem zwycięzcą został.
»Lecz na to wojna... ta czasem zaślepi,
«Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
«Wziąłem wasz zamek — to nie moja wina:
„Dlaczegoż wasi nie strzegli go lepiej?
«Niewskrzesić z martwych tych, co w boju padli;
«Lecz każę przestać wojennej srogości.
«Niemówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli,
«Przyjmijcie Lachy, Litwinów za gości.
«Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
«A jutro w dalszą puścimy się drogę."
Rzekł — i na stronę wodzów odprowadza,
Wydał rozkazy do drużyny dzikiej,
I w jednej chwili Trojdenowa władza
Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
Staje jak wryta zawścieklona tłuszcza,
W pół taktu w bójce żelazo opuszcza;
Tylko z dziedzińca, posłyszysz z daleka,
Jęknie raniony, lub trwożny ucieka.

Trojden powrócił — a na jego czele
Już się promieni cnotliwe wesele,
I pięknym blaskiem wzrok mu się rozżarzy,
I mężne ręce jak do prośby składa;
Tak w tej postaci było mu do twarzy,
Że się spłoniła krasawica blada.
—„Kniahini Lachów! wnet bój się uśmierzy;
„Wrócę wam łupy, wynagrodzę straty.
«Wpuśćcie mię teraz do dalszej komnaty,
«Niechaj się waszej pokłonię macierzy,
«Niech trudy wojny złożywszy z mej szyje
„Z piastowym rodem chleb i sól spożyję."
—«Szlachetny Kniaziu! — odpowie mu Hanna —
„Możesz rozkazać a prosisz z pokorą.
„Ale twój pancerz i zbroja blaszana,
«Może przestraszyć moją matkę chorą.
«Na twym toporze i na pochwie miecza,
„Patrz, jeszcze płynie świeża krew człowiecza.
„Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
„A chleba z nami spożyjesz pospołu:
„U moich przodków szerokiego stołu
„Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.
„Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
„Wkrótce powróci z obławy na zwierza,
„I wypijecie puhary przymierza,
«I ręce sobie chętliwie podacie.
„U Ziemowitów, u stołu Konrada,
„Niebój się—żadna nie czeka cię zdrada!" (D. n.)

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

III.

WE LWOWIE.

(Ciąg dalszy.)

Mimo całej chętki jaką miał pan Felix używać karnawału całą gębą, musiał się tym razem powstrzymać z różnych przyczyn. Już to najgłówniejszą przyczyną była owa golizna, która u naszego Chromackiego, stała się chorobą chroniczną, najtrudniejszą do uleczenia. Niemniej wszakże ważną przyczyną była konieczność wynikająca z planu jaki po kilku dniach złożyli oba z Szpakowskim. Mając dać nurka w świat mieszczański, aby z niego wydobyć jaką perłę kamieniczną, wypadało czas jakiś przebrać się choć pozornie w szaty skromności, trzeba było odegrać role człowieka porządnego i oszczędnego. Porządek bowiem, spokój a oszczędność, są to cnoty najwięcej popłacające w świecie mieszczańskim, którego *wyższości* zwykle tylko przez te cnoty stają się pieniężnemi, a zatem szanowanemi wyższościami. Jest to rola strasznie trudna w ogóle, a była nią jeszcze więcej dla pana Felixa, którego wszystkie narowy paniczowo-szlacheckie, nie godziły się zupełnie z onemi cnotami, jakie mu udawać należało. Lecz cóż było robić? konieczność jest to nauczycielka najtęższa.

I czegożby nareszcie człowiek dla pieniędzy nie zrobił? Wszakże dla pieniędzy ludzie tańcują na linie, zawieszeni między niebem a ziemią z niebezpieczeństwem życia, lub co gorsza kalectwa; dla pieniędzy wyłamują sobie kości, udając małpy, żaby, toczące się koło, i któż wie co jeszcze; dla pieniędzy ludzie *udają* błaznów a czasem *„poczciwych"* przyjmują wygodną role hebesów; dla pieniędzy nawet oddają się nawet ludzie ludziom w zupełną niewolę na całe życie, i poniżają się do bezwładnych narzędzi celów obcych !. Niema tak głębokiej przepaści czy moralnej, czy fizycznej, w którą by się człowiek nie rzucił dla pieniędzy; dla czegożby pan Felix przez parę miesięcy nie zdołał udawać cnotliwego i porzędnego?..

Najprzykrzejszem mu było unikanie świetnych zabaw. A ze wszystkich wymagalności nowego planu, to właśnie było najkonieczniejszem. Musiał bowiem unikać zdybania się z dawnemi znajomemi, równemi lub wyższemi urodzeniem, aby wraz z niemi nie dać się wciągnąć w to wyższe salonowe towarzystwo, którego całe życie nie godziło się ani z golizną, ani z jego planami.

Jednego przecie uniknąć nie mógł. Musiał odwidzieć siostrę, która na całą zimę przyjechała do Lwowa z mężem, który w skutek i starości i spracowanych sił, wolnym ale wyraźnym krokiem zbliżał się do grobu, ale po drodze zasłanej kwiatami przywiązania przez młodą żonę. Tak mówili przynajmniej wszyscy znajomi pani Kopycińskiej, i po części była w tem prawda. Jakkolwiek bowiem miała ona już od męża znaczne zapisy, majątek pana Kopycińskiego osobisty był jeszcze bardzo znaczny, a przytem znaczna liczba była krewniaków, którzy także bardzo kochali pana Kopycińskiego, i radzi byli sypać mu pod nogi kwiaty swego znowu serdecznego przywiązania. Jakże takiego męża nie miała kochać, zważywszy nadto że dotąd testamentu nie zrobił, a codzień zrobić obiecywał.

To też nie było szczęśliwszego, i czulej nudzonego stworzenia od pana Kopycińskiego. Pieszczotkami, nadskakiwaniami, uściskami duszony, dogorywał pomału, i może rad by już skończył, tak mu przechodziło serdecznie nudno życie w mieście, w zupełnem odosobnieniu, w watach i zamknięciu. Bo oczywiście czuła żona przez troskliwość nad wątłem zdrowiem drogiego pacjenta, zapieczętowała go w jak najdalszym i najcichszym pokoju, nieprzypuszczając do niego nikogo, a szczególnie żadnego z owych również go czule kochających krewniaków. Bała się poczciwa żona, by go nie nudzili, chcąc sama dla siebie zachować przywilej nudzenia go tą serdeczną troskliwością, zaczynającą się codzień od ciepłego kleiku, a kończącą rozpaczliwie i stokroć powtarzanem utyskiwaniem.

— Drogi mężu! jakże ty dziś okropnie wyglądasz, daleko gorzej jak wczoraj! mówiła ciągle.

Pacjent słuchać musiał najcierpliwiej, codzień widzieć łzy najprawdziwsze czułej żony, opłakującej go już za żywota! A taka pilność w opłakiwaniu czyż może nie jest to miła, wyraźna i kwiatami zasłana droga do grobu?

— Ja ciebie nie przeżyję! mój najdroższy! powtarzała, oblewając go kleikiem.

Stary mąż wzdychał, mocno się rozczulał, a ani na chwilę zapomnieć nie mógł, że musi umrzeć.

W takim stanie rzeczy pani Kopycińska nie mogła otwartego prowadzić domu, pomimo to nie zrywała ona ze wszystkiemi wielkoświatowemi znajomościami swemi, które porobiła przez parę lat swego zamęścia, które trafiały jej bardzo do smaku, a na przyszłość osobliwie wydawały jej się źródłem rozlicznych przyjemności. Bo pani Kopycińska mimo całego przywiązania do męża, myślała często o przyszłości i widziała się w niej wolną, bogatą i otoczoną tym blaskiem salonowym, do którego wzdychają wszystkie nasze szlachcianki, jakby do raju. Oddawała zatem sama wizyty, wyrwawszy się na chwil kilka od męża, drzymiącego i zamkniętego na dwa klucze. I u niej też bywały same hrabiny, baronowe, sama tak zwana *śmietanka* towarzystwa, która okiem proroczem widziała w przyszłej bogatej wdowie, choć szlachciance, wcale nie zły artykuł dla załatania dziurawej kieszeni jakiego kuzynka.

Przy takich okolicznościach bywanie częste w domu siostry nie godziło się z planami naszego bohatyra. Jakoż przy pierwszem widzeniu się z siostrą wytłumaczył się pan Felix ze swego postępowania.

— Fi donc! zakrzyczała go pani Kopycińska, w której ozwała się duma podwójna i szlachcianki i przyszłej pani dwóch wsi; cóż to za myśl szczególna włazić w to błoto mieszczańskie! Au nom de Dieu, ne vous encanaillez pas mon frére!

— Ja potrzebuję posagu, odpowiadał pan Felix na wszystkie zarzuty siostry, a posag jak tylko będzie znaczny i spocznie w mojem ręku, nikt pytać się nie będzie o pochodzenie żonine.

— Ależ taką jakąś tam mieszczkę nawet do salonu żadnego nie będziesz mógł wprowadzić.

— Tem lepiej! będzie siedzieć w domu, gospodarstwa pilnować, jak to mamy tyle przekładów na mieszczkach, które na wieś powychodziły i was zawstydzają, i pilnością i wiadomościami.

— Cały świat krzywić się będzie na ciebie.

— Moja droga! odrzekł zniecierpliwiony nieco pan Felix, świat nie krzyczy przecie na ciebie żeś Kopycińska choć Chromacka z domu i córka hrabianki, bo masz dwie wsie i kapitały.

— Nie mam jeszcze, mruknęła zamyślona.

— Ale mieć będziesz bo masz rozum.

— Zapewne... Przecież przy stosunkach moich z najpierwszemi domami stolicy i kraju, mogłabym ci wynaleść partją świetną.

— Czy z posagiem?

— Naturalnie!

— I masz co pewnego?

— Nie mam w tej chwili nic pewnego, bo nie mam tyle czasu... ale jak tylko mąż mój skończy....

— Czy już jest tak źle?

— Nie najlepiej, jest to rodzaj konsumcyi.

— Galopującej? zapytał braciszek skwapliwie.

— Powolnej! odrzekła siostra z westchnieniem.

— Widzisz sama że to są marzenia, a mnie rzeczywistość dopieka. A potem te nasze szlacheckie posagi! ty je przecie znasz moja droga. To djabelnie niepewne: póki panną to zawsze liczą na krocie, a potem pokazuje się że to nie *reńskie*, lecz złote *polskie*, albo że po zamęściu została okradzioną.

— Lub przez braci oszukaną, wtrąciła Kopycińska.

— Albo że wuj, który tak mocno pannę kochał, rozgniewany czegoś, cały majątek zamiast jej, na stipendia zapisał. I cóż potem robić z taką szlachcianką? Il faut faire une bonne mine au mauvais jeu, i widzieć koniecznie w swej pani istnego brylanta dobroci, anielskości, za który jednak

nikt i dutka nie da. Wolę ja kotlarkę, której posag nie na *intabulowane* gdzieś tam dukaty, lecz na rzeczywiste banknoty liczy się, przytem teść da na wyprawę, nie stary kocz, lecz nowy kocioł parowy, a wuj doda młocarnię, a stryj narobi parę tuzinów szlei i chomątów...

— Jaki to się z ciebie raptem zawołany gospodarz zrobił, odcięła mu trochę za to zadąsana siostra.

— Zostawmy, więc skończył pan Felix, twoje projekta na później, na ostatni ratunek. Tymczasem umrze twój Kopyciński, a ja może przecie zdobędę posag, bez wielkich korowodów, bo taka mieszczanka będzie najszczęśliwszą mając perspektywę zostania panią szlachcianką. Wszystkie one wzdychają za tem.

— Byle przynajmniej posag był znaczny

— Rozumie się przez się.

Po tej rozmowie rozeszło się rodzeństwo.

(C. d. n.)

Z Krakowa.

Leon Rudkiewicz, Zygmunt Anczyc. Kunst Verein. Kuglarze. Teatr polski w Prusiech. Niedawno temu wspomnieliście o zgonie waszego artysty dramatycznego, Rudkiewicza i podaliście o nim rys biograficzny, do którego to jeszcze sprostowanie należałoby domieścić, że Rudkiewicza zasługi, dla sceny położone, sięgają nierównie dawniejszej epoki niż to wyrażono w biografii. Na dziesięć bowiem lat wcześniej znajdujemy wskazówkę, iż ciągle występował w Krakowie. Podgarbiński, Włodek, Franc. Żebrowski, Kochanowski, Joanna i Eleonora Bauerówny, panna Siennicka, Parysówna, Worowski, a wreszcie Leon Rudkiewicz były to główne figury z trupy Bauera, przybyłej z królestwa Polskiego, i grającej od 20 czerwca 1817 r. w Krakowie, aż po lata następne. W tragedyi Kratera: Aleksander Menżyków, podobał się Rudkiewicz niezwyczajnie w roli Amilki, i we wszystkich innych sztukach uważany był za zdolnego komika. W latach następnych Rudkiewicz bawił ciągle w Krakowie, znaczenie jego i wziętość rosły coraz bardziej, a polubiony przez ówczesnego przedsiębiorcę i twórcę teatru w Krakowie, starostę Kluszewskiego, został dyrektorem grona artystów i na kurs zimowy roku 1819, podpisywał się już jako dyretor teatru, przyobiecał pomnożenie kompanii, utworzenie nowej biblioteki, zaprowadzenie opery i sprawienie garderoby, co jednak (mówiąc nawiasem) dotrzymanem nie zostało.

Gdy w r. 1820, zjechał Jan Kamiński z kompanią swoją ze Lwowa, i od 13 Sierpnia do 26 Październik r. tego dał 33 widowisk przyjmowanych entuzjastycznie, poznał się on od razu na talencie Rudkiewicza, i zabrał go wraz ze spiewakiem Romanowskim do Lwowa.

Rudkiewicz zatem od Listopada r. 1820, ukazuje się na widowni lwowskiej, której już nie opuszczał chyba na czas krótki, jak n. p. w roku 1829. w którym od 10 lutego do 2 Marca, wraz z Janem Nowakowskim występował w Krakowie w rolach gościnnych. Odtąd nigdy więcej nie odwiedził miasta, w którem najpierwsze lata swojego artystycznego zawodu przepędził.

Zbiegowi okoliczności przypisać należy, że w dwóch miastach głównych prowincyi, w jednym niemal czasie, dwaj starsi wysłużeni artyści teatru, dwaj polubieńcy sceny tutejszej pomarli, znajdując się w jednychże smutnych okolicznościach. Przynajmniej, że Pfeiffer uważając zawsze Anczyca za przyjaciela, nie odmawiał mu choć szczupłej pomocy, lubo od niego nie mógł wymagać i nie wymagał odpowiedniej pracy lub wyręczenia. Z odjazdem jednak Pfeiffra fundusze starca-artysty wyczerpnęły się, bo szczupła pensja płacona mu przez Pfeifira bezinteresownie, tylko z tytułu koleżeństwa, ustała z początkiem kwietnia.

Tutaj dodajmy jeszcze kilka rysów z jego biografii, które zebrać zdołaliśmy.

Anczyc urodził się 14. Września 1783 r. żył więc lat 72. Ojciec jego Jan, poległ w r. 1794. w czasie powstania Jasińskiego. Ojczym wysłał go do szkół Wrocławskich, z których w r. 1799 powrócił do Wilna. Zawiązawszy stosunki z aktorami, i napotykając na opór we familii uszedł potajemnie do Grodna i tam zaczął grywać pod dyrekcją Desznerowej. Z kompanją tą przebiegał liczne biaroruskie miasta, grywał w Połocku, Witepsku, Mińsku po r. 1810.

W tym roku opuścił w Mińsku scenę i przyjął miejsce rządcy dóbr starościny Brzozowskiej, i już to w tych stronach, jużto w Petersburgu, bawił do r. 1816. Następnie wrócił do teatru i po rok 1822. przez 6 lat występywał w mieście rodzinnem, pod dyrekcją Każyńskiego, ożeniwszy się w r. 1819. z ulubioną artystką Barbarą Hrehorowiczówną.

W roku 1822, pojechał do Warszawy, którą potem opuścił w r. 1826, i przeniósł się na stałe mieszkanie do Krakowa. W r. 1838 i 1839 sam prowadził dyrekcją sceny krakowskiej, podnająwszy ją od Pfeiffra. Były to lata najniepomyślniejsze, i scena upadła zbiegiem różnych okoliczności, a głównie z powodu braku talentów. Kiedy Chełchowski przybył, ten nie umiał się jakoś pogodzić i porozumieć z Anczycem, dla czego Anczyc porzucił r. 1840 Kraków, puścił się na tułaczkę z uformowaną trupą i grywał kolejno w Lublinie, Płocku, Poznaniu i Kaliszu z rozmaitem powodzeniem.

Meciszewski i Mączyński nie poszli w ślady poprzednika swojego. Powołany Anczyc napowrót do Krakowa w r. 1844. lubo już sześćdziesiątkilkoletni starzec, złamany wiekiem i niedostatkiem, miał czasem swoje szczęśliwe role n. p. generała Morin w Uliczniku; jednakże sam widząc

że gust publiczności wymaga sił świeżych i gry czerstwiejszej, usuwał się zwolna od częstego grywania, a natomiast zarządzał biblioteką i tłumaczył opery.

Kiedy w r. 1849. Chełchowski objął teatr napowrót, Anczyc był przymuszony ustąpić znowu ze sceny. Ówczesna Rada miejska m. Krakowa podając dłoń opuszczonemu a otoczonemu liczną familją starcowi, mianowała go pisarzem rogatkowym miejskim. Okoliczność ta zamiast polepszyć dolę jego, przyspieszyła wyczerpanie sił spracowanego artysty. Płaca 20 złr. miesięcznie ledwie na najgwałtowniejsze potrzeby wystarczająca, nie wynagrodziła mu trudów doznanych w śród ostrej zimy, w odosobnieniu od rodziny, na samotności poza miastem. (D. n.)

Rozmaitość.

* Dnia wczorajszego wyszła bardzo ciekawa i dobrze napisana broszurka o cholerze. Jestto krótkie zebranie wszystkich rezultatów, do jakich wyznaczone na ten cel komissje lekarskie w Anglii i Niemczech doszły. Broszurka ta zasługuje na szybkie rozszerzenie. Autor niepodaje środków ratowania zapadłych na cholerę, ale z sprawozdań rozmaitych komisyi podaje sposoby przeciw szerzeniu się dalszemu epidemii. Między innemi mówi: «Komisya oświadczyła w sprawozdaniu swojem wyraźnie, że w czasie grasującej cholery wszelkie odchody chorych na biegunkę lub tak zwaną cholerynę pierwej chemicznie nieszkodliwemi uczynić (desinfekcyonować) należy, zanim się je do kanałów wyleje. Dzieje się to za pomocą roztworu *witryolu żelaza* w wodzie (rozpuszczając 1 funt witryolu żelaza w 5. kwart wody), którym się te odchody w miarę ich ilości, również jak i bieliznę i wszystko inne, niemi zanieczyszczone, należycie polewa. Chcąc zaś ulicę, miasto lub wieś jaką od słabości zabezpieczyć, potrzeba zaraz, skoro się biegunki takowe pojawią, nalać rzeczonego roztworu w stosownej ilości do wszystkich kanałów, jam odchodnych, gnojówek i t. p. miejsc tamże, a przytem, gdy one są więcej zamknięte, siarką zapaloną częściej w tygodniu wykadzać. W razie zaniedbania tej ostrożności potrzeba do tego środka uciec się jak najprędzej, gdy już cholera wybuchła, a nawet chociażby słabość na tej lub owej ulicy ustała, bo częstokroć zdarza się, że po kilku tygodniach znowu zaniesioną zostanie z innych ulic lub przedmieść. Po dezinfekcyi zaś kanałów ferment takowy choleryczny, zaniesiony powtórnie, sam już zaraz inaczej jak przedtem rozkładać się musi i dla tego w kloakach powtornego wyrobienia się miazmów nie wywoła. W domach, gdzie takową dezinfekcyę wykonano, albo żadnych wypadków cholerycznych nie było, albo przynajmniej słabość ta epidemicznie nie panowała, chociaż w domach sąsiednich mocno grasowała.

Broszurki tej dostać można w księgarni Kallenbacha również jak i we wszystkich innych księgarniach po cenie 6 kr. m. k.

* Na dniu 31. lipca zasłabło na cholerę 209 osób, a 123 umarło. Na dniu 1. sierpnia zachorowało 244 osób, a umarło 132. Ogółem od powstania zarazy zapadło 3379. umarło zaś 1625 osób.

Przyjechali od dnia 1. do 4. Sierpnia do Lwowa.

PP. Mier Henryk hr. z Buska. Karniewski Wojciech z Łosiacza.

PP. Milbacher Kazimierz z Krakowa. Golejewski Adam hr. z Hryniowiec. Trzciński Piotr z Żyrawy. Onyszkiewicz Fortunat z Borossowa.

PP. Krzeczuowicz Ignacy ze Staniszawowa. Cavriani Ludwik hr. z Sambora. Załuski Franc. z Zameczka. Siemiński Konstanty hr. z Jarosławia. Dzieduszycki Wacław hr. z Krakowa. Bartmański Józef z Tadania. Nowosielski Ludwik z Żbora.

Wyjechali od dnia 1. do 4. Sierpnia ze Lwowa.

PP. Głogowski Antoni do Bojaniec. Golejewski Karol hr. do Stryja. Lityński Jan do Nowoszyc. Ziembicki Henryk do Dobrostan.

PP. Rozwadowski Ryszard hr. do Tarnopola. Papara Alexan. do Batiatycz. Turkuł Tadeusz do Bełzca. Kalinowski Władysław hr. do Bakowiec. Dzieduszycki Maurycy hr. do Manasterzysk.

PP. Starzyński Benjamin hr. do Żółkwi. Drohojewski Eustachy Łukowiec. Bobowski Konstanty do Czerniowiec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 3. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	120 $\frac{3}{8}$	Pożyczka 5%	77 $\frac{5}{8}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	87 $\frac{7}{8}$	Akcye banku		977
Londyn za 1 funt szterl.,	11 39	Kolej północna		—
Medyolan za 300 lirów	119 $\frac{1}{2}$	Obl. ind.		75 $\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	140	Nowa pożyczka z loterya		100 $\frac{5}{8}$
Agio duk. ces. . . .	25 $\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .		82 $\frac{1}{2}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	32	złr.	5	kr	35
Dukat cesarski	„	5	„	35	„	5	„	38
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	34	„	9	„	38
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	51	„	1	„	52
Talar pruski	„	1	„	47	„	1	„	48
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	21	„	1	„	22
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	93	„	15		93	„	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	„	30	„	70	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		82	„	15	„	82	„	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**